



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. **1.50**
 W Małop. i b. okup. austr. K. **2.50**
 Kwartalnie Mk. 15.—
 W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—
 Wiersz inzeratowy. . Mk. 2.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
 Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18
 Telefon 78-86.
 Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

Ani na lewo— ani na prawo!...

Pamiętam z Sejmu przykry nad wyraz epizod. Na trybunie chłop w siermiedze; jakiś rozpaczny rozmach go unosi, oczy niemal błędne, włos w nieładzie. Posel Mizera mówi. Mówi Bóg wie co, czyta z jakiejś karteczki jakieś nazwiska, cytuje daty historyczne gdzieś aż od Piasta... Lewica rozwścieczona smutną komedią chłopą, broniącego pańskiej polityki, szarpie p. Mizere, kłuje, szczypie dowcipami do krwi... Prawica bije brawo. Niewiadomo, co p. Mizere bardziej bolało, czy szyderstwa chłopów z lewicy, czy oklaski endeków z prawicy... Widać było, że szuka wyjścia z tej przykrej sytuacji, że chce jej za wszelką cenę koniec положить, że chwyci się jakiegóż rozpaczliwego środka, aby ująć oklaskom i szyderstwom... Więc z wściekłym gestem krzyczy na całe gardło: „Polski chłop nie pójdzie ani na prawo, ani na lewo, tylko — środkiem!” Banalny ten frazes wyratował p. Mizere, ale tylko na chwilę, bo skoro tylko próbował określić ten „środek“, musiał skończyć wśród weso-

łości całej Izby. Złany potem, zmięty i złamany ustąpił p. Mizera z trybuny.

P. Paderewski przypomniał nam w ubiegłą środę błędnego p. Mizera. Mówił dwie godziny, wlatywał w najbardziej przykowne regiony, nie trafiając nikomu do przekonania. Lewica była ironiczna, jak przystało wobec fantazji rozpaczliwych nieraz, prawica biła brawo, aby kwitowć wdzięcznie pochlebstwa prezydenta ministrów i zamarkować, że mówca do niej jednak mimo wszystko należy... Jak niegdyś p. Mizera blakał się bezradny po historii polskiej, pisanej dla użytku parafjan, tak p. Paderewski wikłał się w „niejasności“ Ukrainy, w nadziejach na „nową, sprawiedliwą Rosję“, dziękował całemu światu za naszą niepodległość, kompromitował siebie i kraj zdaniami w rodzaju „pozorów siły na zewnątrz, a słabości wewnętrz“, groził — nieszkodliwie — paskarzom, jak mówca zgromadzeniowy i pocieszał naród, że „gdzieindziej jest tak samo źle“ jak u nas... Zbierał za to docinki lewicy i oklaski prawicy, co wywołało w nim taki sam wybuch wścieklej rozpaczy, że doszedł wreszcie do wybiegu p. Mizery: „Polska nie pójdzie ani na lewo — ani na prawo — lecz — naprzód!“ Ani w bok, ani do góry, ani na dół, tylko naprzód! Efekt tej banalności był też zaiste „mizerny“, bo wywołał coś w rodzaju rozbrojenia całej Izby i całej opinii publicznej w Polsce. Po tych słowach mógł p. Paderewski dokończyć mowy swobodniej, wzbudzając uczucia podobne do uczuć słuchaczy przy uroczystości poświęcenia „Sokolni“ Nr. II wobec „znakomitego“ mówcy i gościa z Warszawy...

I jeszcze w jednym był p. Paderewski podobnym do p. Mizery. Gdy Mizera skończył mówić, ludzie sprawiedliwi nie brali mu wcale za złe jego mowy. Skądże p. Mizera miał nauczyć się myśleć i mówić inaczej? Coś podobnego mówią sprawiedliwi i o p. Paderewskim. Gdzie i kiedy miał ten znakomity artysta nauczyć się sztuki rzadzenia? Jesteśmy pewni, że p. Paderewski opuściwszy miejsce prezydenta ministrów, zyska największe uznanie i hołdy. Ze wszystkich stron, z prawicy, z lewicy i z centrum. Nie ma w tem zdaniu ani cienia złośliwości. Nie należy w niem widzieć niczego, coby tchnęło niechęcią lub ohydными atakami ulicznikowskiej prasy, żyjącej złośliwościami o „fortenianisście“ i t. d.

P. Paderewski oddał Polsce ogromne usługi. Uznał rząd ludowy, szedł do kraju ze słowami szacunku dla robotnika i chłopa polskiego na ustach, cofnął się odrazu z metów niedzwej Intrvy przeciw Naczelnikowi Państwa, starał się o żywność dla Polski, wyrzekł się spółnictwa z paryską konspiracją przeciw samodzielnosci Polski i okazywał jako człowiek uznanie dla

wszystkiego, co tchnęło gorącą miłością ojczyzny. Entuzjasta ten ujmował każdego chęcią szczerą informowania się w rzeczach trudnych, dotąd sobie absolutnie nieznanych... Dyletant ten nie był zarozumialcem, lecz słuchał ludzi doświadczonych. Oddać mu należy całe uznanie, jakiego kiedyś historia mu nie poskapi. Ale i to trzeba mu uczciwie powiedzieć, że nie jest, nie był i nie będzie dobrym prezydentem ministrów. Właściwie nie był żadnym prezydentem ministrów! Przez całych dziesięć miesięcy był nieobecny. Nawet wtedy, kiedy mieszkał w Warszawie. Nie chcemy obciążać tego twierdzenia faktami, godnemi farsy czy operetki, aby ani przez chwilę nie iść w jednym szeregu z całą sforą kpiarzy i najmitów prasowych, bawiących Warszawę scenami z prywatnego życia p. Paderewskiego.

P. Paderewski był i jest nieobecnym jako prezydent ministrów tak w Sejmie, jak i w rządzie. Nie potrzebuje też zapewniać nas, że nie pójdzie ani w lewo, ani w prawo, bo on nigdzie nie pójdzie, gdzie trzeba konsekwentnej pracy i walki dla przeprowadzenia koniecznego, za słuszny uznanego programu, już choćby dlatego, że on programu żadnego nie ma i mieć nie może.

I co mówił np. o wojnie na Wschodzie do dziennikarza angielskiego, lub z trybuny Sejmu, zdolne było przerazić każdego polityka, wroga, czy zwolennika. O strajku rolnym, „słumionym“ przez rząd, mógł mówić taki sam mówca zgromadzeniowy jak i o tem, że strajk rolny przyczynił się do zaprzepaszczania 30% zbiorów ziemniaczanych! Mówca zgromadzeniowy — bez kontroli — ale nie prezydent ministrów, któremu nie wolno fantazjować... Rząd, który przez dziesięć miesięcy nie zebrał podatków, nie wziął ani części zysków wojennych bogaczom i „nowym bogaczom“, rząd, który przez swoje organy wyhodował wprost rozpisanie lichwy, taki rząd nie ma prawa nagłe krzyżeć o szubienicy na paskarzy. I nikt w szczerłość tego krzyku nie uwierzy i nikt się go nie uleknie.

Na prawicy grupują się potężne klikki obszarnicze i kapitalistyczne, które już dzisiaj mają w swem reku całą dyplomację, niemal całą administrację, potężne czynniki armii, znaczną część pracy i ogromne środki pieniężne; na lewicy wre praca organizacyjna masy ludowej i zbierają się chmury gniewu i rozpacz; coż zostało dziś w ręku rządu i co znaczy frazes, że rząd nie pójdzie „ani na lewo — ani na prawo“?...

Sam aparat urzędniczy z asystencją wojskową i ze stanem wyjątkowym, wraz z całą jego bezcelową ohydą? Głód wypaczył to wszystko i zdemoralizował do tego stopnia, że eddybv rząd chciał temi środkami „rządzić“, to pewnego dnia zostałoby mu w ręku próchno!

„Gdzieindziej jest jeszcze gorzej“! Pociecha godna rozpacz. Jeżeli w pobitych Niemczech chleb kosztuje trzy razy mniej niż u nas, to znaczy, że u nas lepiej? Jeżeli w lutym zwolany parlament pobitych i zdruzgotanych Niemiec mógł już dnia 11 sierpnia uchwalić konstytucję, to znaczy, że u nas lepiej? U nas, wśród balkonów urywających się od entuzjazmu, u nas, gdzie szlondary i chorągwie i przedstawienia uroczyste i wiwaty radosne nie schodzą z porządku dziennego!...

Ale nasz żołnierz bije się i zwycięża bez butów, bez płaszczy, bez dobrego słowa z pod serca rozbawionych paskarzy i bez posylki z domu biedaków, gdzie głód i chód gospodarzy!... Tak jest i ten heroizm wojska jest może najcięższym oskarżeniem rządu p. Paderewskiego. Dzielny żołnierz i marny rząd — to Polsce oddawna już nie nowina.

Polska laknie rządu innego, niż ten, na którego czele stoi p. Paderewski. Ktokolwiekbaż z ludzi rozumnych i uczciwych ma dostęp do p. prezydenta ministrów, powinien mu to wyrazić nie powiedzieć. Nigdy nie uprzytomniła sobie tej prawdy opinia publiczna tak wyraziście, jak właśnie po mowie p. Paderewskiego. Z wdzięcznością wspomina ludzie w Polsce te dobre czyny, któremi zaznaczył się dotąd p. prezydent ministrów, z wdzięcznością przyjmuje też do wiadomości, że uznał potrzebę odstąpienia tego urzędu komu innemu. Nie koniecznie lepszemu, nie koniecznie gorętszemu sercem, lecz takiemu, któryby zrozumiałwszy dokąd iść trzeba, szedł w tym kierunku i pokonywał przeszkody i organizował siły, do których należy przyszłość. jeżeliby w teraźniejszości jeszcze nie miały przewagi. Ale do tego trzeba mieć program, a nie porwy, potrzeba mieć wolę, a nie tylko „dobrą wolę“ i potrzeba mieć wiedzę a nie — „fachowych“ ministrów.

Pieniędzy !...

Pułk żołnierzy na froncie walczących ofiarował na rzecz plebiscytu na Górnym Śląsku 70.000 mk.

Ze swego żołdu.

Czy w Polsce niema ludzi bogatych? Gdzież są ci, co porobili kłutny wojenne?

Ba, gdzież się ci podzieli, co szastali pieniędzmi za okupacji pruskiej? I za moskiewskiej?

Dokądże to będzie tak, że na cele narodowe ofiary składają tylko nędzarze!

Dziś bogaci nie chcą złożyć ofiary... Oby jutro nie musieli dać kary.

O poziom życiowy polskiej klasy robotniczej.

Drożyzna staje się morderczą.

Życie gospodarcze utraciło charakter stałości. Jedyne linja cen pnie się nieustannie ku górze.

Drożyzna i brak towarów, oto cechy znamienne gospodarstwa społecznego w dobie dzisiejszej. I nie jest to tylko czasowa, przemijająca choroba organizmu ekonomicznego. Stan ten posiada charakter klęski, ruiny, z której nie widać wyjścia.

Bezmierny ciężar tej klęski zwałił się cały na barki pracującego ludu miejskiego i bezrolną, wyrobniczą ludność wiejską. Placiki koszty wojny pracująca ludność przemysłu. Rolnik żyje dostatnio, kupiec, dostawca wojenny, spekulant, majsterek — te szczury w klęsce opasłe — żyją, jak nigdy. Oplywają w dostatki, powszechną klęskę odzuwając jako ustawiczny przyrost bogactwa.

Warstwy pracujące, jako całość — prócz nielicznych wyjątków — zostały zmuszone do obniżenia poziomu życiowego nawet wtedy, jeśli posiadają stale zajęcie.

Mimo intensywnej walki zawodowej i nieustannych strajków — wzrost zarobków nie mógł osiągnąć poziomu wzrostu cen na artykuły pierwszej potrzeby w Warszawie. Masy robotnicze, źle odżywiane przed wojną, dziś odżywiają się, ubierają, mieszkają gorzej, niż kiedykolwiek.)

Pierwotnie mówiło się robotnikom: — Wasze strajki nie wiele uczynić mogą. Bez względu na wysokość zdobytego zarobku pieniężnego, nie sposób dziś utrzymać się na przedwojennym poziomie życiowym. Czasy są nienormalne: wojna.

Czasy były nienormalne. Dziś anormalność jest stałą cechą stosunków, jest stanem normalnym.

Ustawicznie zachodzi rewolucja cen. Siła nabywcza pieniądza szybko maleje, zarobki, przed miesiącem wystarczające na jakie takie utrzymanie, po miesiącu są już niedostateczne. Leży w życiowym interesie warstw pracujących czuwać nad tem, aby place nominalne odpowiadały potrzebom robotników.

Dla burżuazji każdy strajk jest zamachem na święte prawa własności, ład i porządek, każdy jest „nieszczęściem kraju“. Głosi

¹⁾ Prócz pewnych nielicznych kategorii robotników, rozporządzających doskonałą organizacją i niejako monopolizujących rynek pracy jak szewcy, krawcy, zecerzy, piekarze.

się na wszystkie strony, że to właśnie żądania robotników i ustawiczne strajki wywołują drożyznę.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ruch strajkowy jest zjawiskiem tylko wtórnem, że zadaniem jego jest niemal wyłącznie ustanowienie zachwianej równowagi między siłą nabywczą pieniądza, a nominalną płacą zarobkową. W wyjątkowych tylko warunkach pewne drobne grupki robotników dążąc do zdobycia większego poziomu życiowego niż przed wojną, prowadzą akcję zarobkową zaczepną raczej niż odporną. Korzystając ze specjalnych warunków i własnej siły, grupki te zdobywają sobie uprzywilejowane stanowisko wśród pracujących robotników. Jeżeli przy tem w parze z osiągnięciem wyższego poziomu życiowego idzie obniżenie wydajności pracy, staje się to istotnie — jednym z czynników — wzrostu drożyzny. Ale typowy proces jest inny — bierny, obronny.

Strajk jest koniecznym środkiem zapobiegawczym, tamuje on proces koniecznego powodu wzrostu drożyzny — obniżenia się poziomu życiowego klasy robotniczej. Wyobraźmy sobie, co by się działo w Polsce, gdyby robotnicy biernie znosili wzrost cen i nie stawiali żadnych żądań! Wtedy, istotnie, zapanował by w Polsce rękoszny raj na ziemi. Nie byłoby strajków. Zaburzeń, kwestji społecznej, bowiem wszyscy robotnicy przenieśli by się na łono Abrahama!

To są dla każdego rozsądnego człowieka rzeczy samo przez się zrozumiałe. Jeżeli je tu wypowiadamy, to tylko dlatego, aby przytwierdzić nieuctwo i brak orientacji w rzeczach społecznych ludzi nawet bardzo wysoko postawionych²⁾.

Jeżeliśmy w „Trybunie“ wypowiadali pogląd, że istotne polepszenie bytu klas pracujących może nastąpić tylko przy zwiększonej produktywności pracy, to nie ma to nic wspólnego z dzisiejszym masowym ruchem zarobkowym, wywołanym przez drożyznę. Zasadniczo zadaniem tego ruchu jest utrzymanie płacy realnej na jednakowym, dotychczasowym poziomie — w drodze zwiększenia płacy nominalnej.

Wprawdzie po osiągniętej przez robotników podwyżce przedsięwzięcia odbijają sobie rzekome straty, powiększając ceny towarów, najczęściej w stopniu nieporównanie wyższym, niż wynosiła zwzłoka zarobków — ale to nie może powstrzymać robotników od dążenia do zapewnienia sobie normalnych zarobków. Gdyby walka z lichwą była u nas lepiej postawiona, to zwiększone zarobki robotników

²⁾ Zarzutem, że strajki są urządzone za obce pieniądze — niemieckie lub rosyjskie — nie uważamy za stosowne zajmować się. Głupota ludzi, wypowiadających podobne poglądy, bije w oczy. Przypominamy tylko, że kilka miesięcy temu, prasa niemiecka oskarżała Polaków o urządzenie strajków w Westfalji, aby utrudnić położenie państwa niemieckiego.

mogły by płynąć z nadmiernych zysków przedsiębiorcy, nie odbijając się na cenach towarów.

Wrogowie klasy robotniczej udający „uczonych“, walczą z ruchem zarobkowym argumentem, że wszelka wyżka płac jest bezskuteczną, gdyż nieuniknionym jej skutkiem musi być obniżka wartości pieniądza.

To mniemanie jest silnie rozpowszechnione, a opiera się na pseudo - naukowej zasadzie, że im więcej w rękach robotników pieniędzy, tym niższa siła nabywcza znaków obiegowych. Jeżeli robotnicy i urzędnicy otrzymają podwyżkę płac, to bezpośrednim skutkiem tej wyżki musi być przepełnienie kanałów obiegowych gospodarstwa społecznego, a zatem drożyzna.

„Uczeni“, wypowiadając podobne twierdzenia, nie zdają sobie poprosu sprawy ze zjawiska spadku siły nabywczej pieniędzy. Jak właściwie sprawa się przedstawia?

Rząd puszcza maszyny drukarskie w ruch, coraz nowe miliardy papierowych marek polskich przepelnia kanały obiegowe gospodarstwa społecznego. Rząd, drukując marki, ma czem płacić i na potrzeby wewnętrznej organizacji, na potrzeby wojny i wojska — to najważniejsze — nabywa się masowo towary, płacąc najczęściej ceny nadmierne. Konsumcja wzrasta lawinowo, atoli produkcja nie wzmagą się proporcjonalnie. Równowaga między produkcją a konsumcją znika, zapasy gotowych dóbr maleją, ceny rosną. Dochody kupców, producentów i dostawców wojennych, wyrażone w papierowych markach stają się olbrzymie. Te warstwy wykazują ogromny popyt na przedmioty zbytku, artykuły żywności, odzież. Płacić mogą wszelkie ceny, nabywać są w stanie ilości niebywale. Zapasy towarów znów maleją, ceny skaczą w górę.

Oto źródła drożyzny, źródła nie jedyne, ale najważniejsze.

Warstwy pośredników i producentów szybko mogą przystosować swe zarobki do poziomu cen. Inaczej warstwy robotnicze, pracownice i urzędnicze, otrzymujące od przedsiębiorcy stałe wynagrodzenie. Ci muszą ustawicznie czuwać, aby zarobki odpowiadały linii cen, linii, której bieg nie od nich zależy. Stąd ruch zarobkowy, strajki. Jest to ruch wtórny, następczy, a przytem konieczny ze społecznego punktu widzenia. Inaczej warstwy pracujące słybyły by się na dno ostatniej nędzy.

Drukarnie marek są stale w pełnym biegu. Wojna trwa. Klasy panujące ogarnął szal zysków. Ekscesy w sferze spożycia wzmagają się. Produkcja w stagnacji. Ceny rosną nieubłagane wwyż.

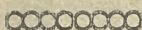
Nowe strajki są żelazną koniecznością. Warstwy pracujące muszą mieć dostateczne środki na zaspokojenie swych potrzeb żywiołowych i kulturalnych. Nie pomoże krakanie kruków i patriotyczne zaklęcia.

Lecz jest pewna rada. Surogat rady.

Niechaj rząd utworzy komisję, czy urzędy, których zadaniem byłoby przystosowanie co pewien czas zarobków robotniczych w poszczególnych gałęziach produkcji do wzrostu kosztów życia.

Cudów od tego środka nie oczekujemy, ale jest to w każdym razie pewne lekarstwo.²⁾

E. Lipiński,



Międzynarodowa Socjalistyczna Komisja Międzyparlamentarna.

W lutym 1920 r. odbędzie się w Genewie międzynarodowa socjalistyczna i robotnicza konferencja.

Sekretariat Międzynarodówki przygotował na tę konferencję specjalne memorandum, które ubolewa, że brak jest sprawnej międzynarodowej organizacji frakcji parlamentarnych socjalistycznych, która ruhowi robotniczemu mogłaby oddać duże usługi.

Aczkolwiek już w 1904 r. zorganizowano międzyparlamentarną komisję socjalistyczną i przyłączono ją do Międzynarodowego Biura Socjalistycznego, to jednak do wybuchu wojny komisja ta była w fazie organizacyjnej, chociaż świetnie zapowiadającej o działalność takiej komisji.

Wojna powstrzymała ten rozwój i unicestwiła wszystkie wysiłki i powodzenia tych poczynąń. Lecz gdy sprawa ta została podniesiona na Konferencji w Lucernie, delegaci jednogłośnie wyrazili życzenie wznowienia i reorganizacji międzyparlamentarnej Komisji.

Uważali oni — nadmieniam memorandum — że wspólna praca i działalność są obecnie potrzebniejsze niż kiedykolwiek bądź. W okresie obecnym przekształcania świata, międzynarodowej zależności ekonomicznej krajów, ścisłego międzynarodowego współpracownictwa rządów, wiele spraw, które wydają się być narodowymi, przybiera postać spraw międzynarodowych. Codziennie wypływają nowe zagadnienia i często grupy parlamentarne zmuszone są zająć określone wobec tych zagadnień stanowisko, nie mając możności zaczekać na otrzymanie dyrektywy od swych stronnictw. A przecież od stopnia współpracownictwa międzynarodowego zależeć może osłabienie ruchu robotniczego lub jego moc i możliwość wykorzystania tego ruchu jako czynu decydującego w regulowaniu spraw narodowych i

²⁾ Lekarstwo to możliwe jest wszakże do zastosowania jeno wtedy, jeśli urząd statystyczny opanuje rynek cen towarowych. — Red.

międzynarodowych. Rzeczywiście można powiedzieć, że przy obecnej sytuacji społecznej i międzynarodowej, bez systematycznego współprawnictwa międzynarodowego reprezentacje parlamentarne klasy robotniczej nie mogą zadawalająco wypełnić swych obowiązków i oddać wszystkie przysługi, jakich robotnicy mają prawo od swych reprezentantów się domagać.

Prawdopodobnie zawód, jaki wywołały w narodzie instytucje i działalność parlamentu, spowodowany jest po części przez ograniczenie wpływu i działalności przedstawicielstw parlamentarnych wskutek braku współprawnictwa międzynarodowego. I możliwą staje się rzeczą, że nawet tam, gdzie robotnicy posiadają poważną siłę polityczną, są oni mniej lub więcej sparaliżowani w swej działalności przez nieznaną sobie dalej sięgających celów politycznych i warunków powodzenia robotników w innych krajach.

Pole działania komisji międzyparlamentarnej, zorganizowanej we właściwy sposób i rozporządzającej niezbędnymi funduszami, praktycznie biorąc, jest nieograniczone. W każdym bądź razie, w sytuacji obecnej, narzucają się same następujące trzy wielkie wytyczne działania.

Po pierwsze, wzajemna wymiana poglądów i informacji, mogąca przy sposobności prowadzić do jednoczesnego i skombinowanego wystąpienia, posiada pierwszorzędne znaczenie o ile chodzi o **prawodawstwo robotnicze i społeczne**. Potrzeba ustalenia międzynarodowego zrównania prawodawstwa robotniczego i reform społecznych daje się odzuwać bardziej niż kiedykolwiek.

Po drugie, komisja międzyparlamentarna będzie musiała zbierać, dla zorganizowania wymiany, wszystkie dokładne wiadomości dotyczące zagadnień specjalnych polityki zagranicznej, a szczególnie wiadomości o narodach lub ziemiach, poddanych wpływowi lub kontroli rządów obcych. Dostarczając periodycznie przedstawicielstwom parlamentarnym dokumentów autentycznych, komisja międzyparlamentarna umożliwi tym ciałom prowadzenie skutecznej dyskusji w sprawie swych parlamentów i zapewni lepsze kontrolowanie polityki swych rządów w danych sprawach.

Po trzecie, bardzo ważną jest rzeczą posiadanie wiadomości z pierwszej ręki o wszystkich prawach i dekretach, wydanych przez władze rewolucyjne, jak Sowieckiej Rosji lub Węgier. Wiadomości takie służyłyby za podstawę do przeprowadzenia badań i poszukiwań, i pozwoliłoby członkom stowarzyszonych frakcji parlamentarnych przedyskutować te zagadnienia, znając ich przyczyny i autentyczność.

Zadaniem komisji międzyparlamentarnej byłoby dostarczanie wszystkich tych wiadomości, jakich mogłyby w podanych powyżej sprawach zażądać od niej przedstawicielstwa parlamentarne. W ogólności, komisja przyjąłaby na siebie obowiązek prowadzenia współ-

pracownictwa i działalności międzynarodowej. Potrzeba posiadania organu tego rodzaju, jest ogromna; lecz sposobność rozwinięcia przez tę komisję owocnej akcji w sprawie robotniczej Międzynarodówki, jest jeszcze większa. Organizacja podstawowa i stosunki międzynarodowe są już związane i czekają tylko na ich spożytkowanie i rozszerzenie. Potrzeba jedynie, by przedstawicielstwa parlamentarne zgłosiły chęć współpracownictwa, zwiększając w ten sposób niepospolicie ich wpływ dla sprawy, której bronią i aby zechciały się w odpowiednim stopniu przyczynić do powstania tej międzynarodowej placówki o niezmiiernej doniosłości.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA.

Abdykacja R. R.

Urywek.

Nie pora dziś pisać historii zdarzeń z przed roku. Ale dla zbogacenia archiwum materiałów historycznych przydać się może każda cegielka, dlatego pragnę w rocznicę zdarzeń listopadowych podzielić się z ogółem polskim kilku wspomnieniami.

Od pokoju brzeskiego czuliśmy my, niepodległościowcy, zbliżającą się katastrofę Austrii. Deklaracja posła Daszyńskiego wniesiona w pierwszych dniach października 1918 r. imieniem stronnictw niepodległościowych (z przyłączeniem do niej Narodowej Demokracji) w parlamencie wiedeńskim była ujawnieniem i wypowiedzeniem stanowiska Polaków zaboru austriackiego. Nie przyłączyli się do niej tylko konserwatyści. Od daty tej deklaracji stronnictwa niepodległościowe myślały o utworzeniu rządu polskiego. Surrogatem takiego rządu — dzielnicowego — miała być „Polska Komisja Likwidacyjna” utworzona w drugiej połowie października w Krakowie, a jej współczesnym odpowiednikiem było usiłowanie utworzenia połączenia wszystkich stronnictw w Królestwie. Zjazd 18 października w Warszawie nie dokonał tego połączenia; Narodowa Demokracja złamała szereg i poszła na służbę Rady Regencyjnej, na to aby po dwu tygodniach rząd jej runął.

Po otrzymaniu depechy o upadku rządu d-ra Świeżyńskiego — poseł Daszyński zaprosił przedstawicieli stronnictw niepodległościowych na naradę. Obok pp. Witosa i Stapińskiego byłem i ja wśród zaproszonych jako przedstawiciel „Ligi Niepodległości Polski”, reprezentujący tę Ligę przez ciąg ostatnich lat wojny. Na naradzie tej uznano konieczność utworzenia rządu ludowego, ale już nie dla jednej dzielnicy. Należało porozumieć się z Królestwem.

Ale na drodze stała okupacja, kordony i trudności techniczne. Trzeba było działać szybko, aby nie dopuścić do utworzenia innego rządu przez Radę Regencyjną i ostrzec „lewicę“ Królestwa. W tym celu wyjechałem 4 listopada do Warszawy z planem omawianym w Krakowie, aby utworzyć dyrektorjat z 5 osób (2 z Królestwa, 2 z Galicji i generała Rydza Śmigłego jako zastępcę Piłsudskiego i komendanta siły zbrojnej).

Jako przedstawiciel oficjalny Stronnictw Niepodległościowych Galicji miałem za zadanie poinformować lewicę Królestwa o zamiarach krakowskich, doprowadzić do zgodnych uchwał w Warszawie i do wyboru członków rządu.

Gdym rano 5 listopada przyjechał do Warszawy, bez paszportu i bez pozwolenia okupantów, zebrali się u p. Artura Śliwińskiego przedstawiciele „lewicy“ już koło 10 przed południem. Zebranie było liczne, burzliwe i długo trwało, bo blisko do 5 godziny po południu. Sytuacja była tego rodzaju, że na Radę Regencyjną miały pewne czynniki wykonać na drugi dzień zamach stanu... To dawało wielkiego znaczenia uchwałom lewicy. Akceptowano plan krakowski i wysłano deputację złożoną z p. Artura Śliwińskiego i ze mnie do Rady Regencyjnej, aby jej zakomunikować stan rzeczy i wezwać do abdykacji. Dr. Wróblewski uprzedził Radę Regencyjną o naszym przybyciu. O godz. 5½ wieczorem oznajmiłem w formie oficjalnej obu pp. Regentom (ks. Lubomirskiemu i Ostrowskiemu), że tworzy się „dyrektorjat“ stronnictw ludowych i zapytałem, czy Rada Regencyjna gotowa jest złożyć swoją władzę w ręce tego dyrektorjatu? P. Ostrowski był tą sprawą zaskoczony, a ks. Lubomirski oświadczył w swoim imieniu, że świadom jest tego, iż będzie zmuszony złożyć władzę w ręce przedstawicieli ludu. P. Ostrowski chciał najpierw poznać nazwiska członków dyrektorjatu.

Rada była gotowa do dymisji. Misja nasza była skończona. Około godz. 6-ej wieczorem rozstał się z tem, że R. R. wkrótce dowie się o nazwiskach członków dyrektorjatu. Lewica tymczasem obradowała w permanencji i kiedyś wrócili na posiedzenie omawiano już szczegóły utworzenia rządu. Z dnia 5 na 6 listopada spędziłem drugą noc w wagonie do Krakowa, bo Kraków czekał wiadomości z Warszawy. Zjechałem rankiem wprost do Daszyńskiego i telegraficznym stylem powiadomiłem go o tem, co myśli Warszawa. Tymczasem z Lublina przybył autem por. O. po członków rządu z Galicji. Rząd mógł bowiem powstać na razie tylko w Lublinie i stamtąd miano rozpocząć działanie przeciw Niemcom w Warszawie i okupacji. Tam miano Polskę ogłosić jako Republikę. Wszystkie czynniki lewicowe wiedziały, że tylko i wyłącznie rząd ludowy może ująć w swoje ręce władzę i przeprowadzić tę rewolucję bezkrwawą. Pp. Moraczewski i Witos brali udział w naradach. Podkreślam nazwisko p. Witos, aby zwrócić uwagę na tę okolicz-

mość, że dobrze wiedział o co chodzi. Był o wszystkim informowany a koroną był wyjazd jego w dniu 6 listopada do Lublina. Wszak w żadnym innym celu nie mógł tam jechać, jak tylko dla wyciągnięcia konsekwencji z upadku Rady Regencyjnej i rządu d-ra Świeżyńskiego. A konsternacją był rząd ludowy i Republika!.. Na osobie Witosa zależało nam wiele, bo był on przedstawicielem największego odłamu włościan w Galicji.

Co wpłynęło na postawę p. Witosa w dniach następnych i jakie siły zewnętrzne zadziały na niego, o tem może inne pióro opowie dokładniej...

Hipolit Sławiński,
poseł sejmowy.

Listopad.

SONET.

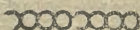
W szeleście tajemniczym złotych szat jesieni
Listopad wkroczył smętny w wonne wirydarze,
Posępnym łękiem owia! kwietne korytarze
I kirem je osłonił żałobnych półcieni.

W alejach trwożnie szepcą półumarłe drzewa,
Z gałęzi wichru podmuch zżółkłe liście strąca;
Ostatnim tchnieniem żegna przyroda gasnąca
Pieśń Życia, co w zimowym uścisku omdlewa.

...Lecz dziwne jakieś echa w drzew poszeptcie słyszę —
W poświęcie gwiazd, co wieczór na niebie zapala,
Owiane mgłą postaci mającą mi zdala...

Wszak to oreża szczęk zamąca nocną ciszę,
I wstaje bohaterów wizja zaświatowa:
To z mogił ich wywiodła — Noc Listopadowa.

Sylwester Oksza.



Sztuka i Socjalizm.

IV.

Sztuka społeczna.

Opisując powstanie opery społecznej Wagner powiada:

„Muzyczną podstawą opery — jak wiemy — była aria; ta znowu niczem innym nie jest jak tylko przetworem ludowej piosenki, wykonywanym przez artystę śpiewaka dla zabawy osób wytwornych. Naturalną ludową treść tej pieśni opuszczono, a w miejsce tej dano produkt zamówiony dworskiego poety’.

„Wedle woli i smaku wytwornego bogatych panów, dodano do tej dramatycznej kantaty balet. Taniec w tej samej mierze wzięto z ludowej, szczerzej i naturalnej zabawy i przekształcono w tenże sam sposób jak i pieśń ludową...”

Wagner w taki sposób obrazowo opisuje dalej genezę opery.

Człowiek wytworny przysłuchiwał się pieśni ludowej zdaleka, z okien przepysznego palacu łowił dźwięki wracających z pola żniwiarzy, słyszał wyraźnie dostającą się do wnętrza komnat melodię. Poezja słowa przebrzmiewała nie dla niego u wrót palacu. Melodia ta była zachwycającym zapachem kwiatu — a słowa kształtem organicznym tego delikatnego kwiecia. Człowiek wytworny wciągał tylko jednostronnie zmysłami powonienia woń kwiatu, nie zatrzymując się okiem nad jego kształtem. Destylował z kwiatu w sposób sztuczny perfumy i zlewał we flakoniki, by wedle chęci nosić je przy sobie i napawać swe zmysły, jeśliby miał ochotę.

„Tym samym substratem orzeźwiał wytworną pustkę i nędzę swego życia, nicosć i niemoc swych uczuć”¹⁾.

Dalej Wagner barwnie opowiada, jak kompozytorzy oper objeżdżali Szwajcarię i Włochy, skwapliwie zbierając melodie „ludowe”, aby przyrządzać z nich wonne ekstrakty dla publiczności stołecznej.

„Przeszukiwano wszystkie ziemie i kraje kontynentu, każdą prowincję, każdy szczepek ludowy, badano aż do ostatniej kropli muzycznej krwi, a uzyskaną w ten sposób nalewkę, podawano, jako świetny fajerwerk, cieszącym się panom i szachrajom... Na tym tle rozwinęła się wówczas (na początku XIX wieku) w Niemczech moda opierania się na tematach ludowych’.

Tyle o operze, będącej zapewne krańcowym przejawem sztuki, sprowadzonej do poziomu zabawy. Wagner, pisząc to, zmierzał ku zre-

¹⁾ R. Wagner. — „Opera i dramat”. — Przekład M. Diensta. — Lwów 1907. Str. 10, 11, 24.

formowaniu i pogłębieniu teatru. Do sprawy — czy udało mu się to i w jakiej mierze — powrócimy jeszcze; przytoczenia powyższe podałem dlatego, że treść ich odnosić się może nie tylko do opery.

Naprawdę bodaj o całej sztuce naszej powiedzieć możemy to samo, co Wagner mówi o operze. Powieściopisarz i poeta, dramaturg, malarz, muzyk, rzeźbiarz i architekt, — każdy tak samo sięga bądź do tematów ludowych, bądź do przejawów życia religijnego, do legend, mytów, strojów i sprzętów, aby z tych pereł różnorodnych układać barwne naszyjniki dla chcącej się stroić w nie publiczności. Perła powstaje jako rezultat pewnej bolesnej sprawy, zachodzącej w istocie żywej: — podobnie styl, myt, wreszcie tragedia czy epopeja tryska jako przejaw pewnych spraw, zachodzących w ustroju społecznym; jest to coś jak rumieniec na twarzy, czy mocny zapach w kwiecie — dowód zdrowia i życia mocnego, ale nie coś, co posiada wartość w oderwaniu.

Zapach lasu pokrzepia, piersi rozszerza, nową moc w mięśnie nam wlewa, ponieważ jest uchwytym dla zmysłów naszych przejawem tych prądów siły, które z lasu ku nam płyną; w powietrzu leśnym unoszą się masy sił życiowych, fale mocy. Dlatego sam zapach lasu, zapowiadający to wszystko, zdaje się pokrzepiać nas. Ale ten zapach wydestylowany i rozpylony w dusznym pokoju, psuje tylko powietrze i nie nadto. Tyle pokrzepienia przynosi, ile zdrowia dodać może rumieniec malowany.

Otóż nie tylko pan ze wspnianego palacu, ale przeciętny człowiek kulturalny społeczny przeżywa tragedję grecką tak, jakby przeżywał ekstrakty zapachów leśnych, rozlane po mieszkaniu. Myt prometejski nie jest dla niego prawdą bezpośrednią, lecz wyrazem symbolicznym pewnych rzeczy, bardzo mglistych. Ostatecznie — on niewiele co więcej niż bawi się tragedją, epopeją, rzeźbą, mytem lub zdobnictwem greckim, hinduskim, germańskim, perskim czy słowiańskim.

Jak owi kompozytorzy operowi, o których mówi Wagner, podobnie wszyscy artyści społeczni jeżdżą po różnych krajach, ludach i epokach, robią spostrzeżenia na najrozmaitszych typach ludzkich: — na przemysłowcach, rewolucjonistach rozpustnikach, świętych ascetach, na chłopach, robotnikach i podają z tego wyciągi do zabawy publiczności lub do zdobienia jej mieszkań.

Dzięki temu życie społecznego człowieka, nazywającego się kulturalnym, jest ogromnie barwne, niemal pstre, powierzchownie ruchliwe, ale bynajmniej nie pogłębione. Pomiedzy pisarzami polskimi jest ktoś będący niezwykle jaskrawym tego przedstawicielem: — to Tadeusz Miciński. Nadzwyczajnie bujna, szalenie kolorowa wyobraźnia tego autora, posiadająca rozległe, choć bynajmniej nie głębokie czytanie, pozwala mu jakgdyby żyć w najrozmaitszych czasach — i miejscach; wszyscy bogowie, wszystkie filo-

wolje sztuki i wszystkie rodzaje rozpuszty tańczą w jego utworach. „Nietota“ lub Ksiądz Faust“ przenoszą nas z Tatr w Himalaje, z widli zakopiańskich kuracjuszków na sabaty czarownic, do więzień nad Ładogę, do misterjów religijnych hinduskich — wszystko to jednak są tylko dekoracje, dekoracje, dekoracje; zmienia się to z zawrotną szybkością, daje złudzenie jakiegoś wprost potwornego bogactwa życia duchowego, — naprawdę zaś jest tylko bawieniem się barwnymi muszelkami. Pod tym nadmiarem maszynjerji scenicznych i wspaniałych efektów świetlnych siedzi przeciętny, zwykły czelczyzna, usiłujący pustkę własną i bliźnich zagłuszyć tą różnojęzyczną paplaniną religijno - filozoficzną.

Taki jest wogóle kulturalny, lubiący sztukę i spożywający ją człowiek społeczny. Sztuka winna go bawić lub powierzchownie „dawać mu do myślenia“ w żadnym jednak razie nie wolno jej sięgać zbyt głęboko, nie wolno jej wstrząsać trzewiami słuchacza, który właśnie zajęty jest ważną funkcją trawienia.

Zresztą sztuka, choćby chciała najmocniej — a niekiedy właśnie chce — zrobić tego nie może; ponieważ na to, aby wgląd duszy sięgnąć, trzeba oprzeć się na duszy tej podstawach; to znówu, żeby drogą sztuki, drogą wstrząsu gromadnego, było możliwe, muszą jednostki w gromadzie mieć spólną podstawę dusz, czyli spólną wiarę. Na takiej wierze opierał się Eschylóz, inscenizując Prometeusza, na takiej wierze wyrosła katedra gotycka. Ale dzisiaj na czymże artysta oprzeć się może? Jak bezsilna tu jest sztuka, choćby nawet zdawała sobie sprawę ze wszystkich braków swoich i choćby artysta najszczerzej chciał wyzbyć się swych właściwości pęcherza, unoszonego na powierzchni fali i upodobnić się ołowiance — tego najlepszym przykładem jest ten sam Wagner, który tak dosadnie skrytykował pustotę opery.

Wagner czuł i wiedział, że tragedia grecka powstała na wielkim mycie religijnym, na mycie, który żył w całym narodzie, był jego wiarą. Stąd wniosek: — tragedję społeczną stworzymy, jeśli również, jak Grecy, oprzemy się na mycie narodowym.

W myśl tego, Wagner udał się do wykopalisk germańskich, wydostał stamtąd Wotana, Walkyrje, Zygfrйда i t. d. i postanowił postaciom tym kazać poruszać się po scenie.

I sądził, a z nim sądziła, chodząca na te przedstawienia publiczność niemiecka, że dał naprawdę tragedję narodową, że dał Niemcom coś działającego również potężnie, jak tragedia działała na Greków. Teatr wagnerowski miał być zaczątkiem odrodzenia niemal religijnego i utor i publiczność czekali na to z całą dobrą wiarą; czekali na objawienia, które jednak bynajmniej nie nastąpiły.

Wokół Wagnera powstała taka atmosfera uwielbień i zachwyłów, stawiano go tak wysoko, że mało zapewne jest ludzi wrażliwych artystycznie, którzyby wpływowi temu oparli się całkowicie.

Sam również dużo szukałem w Wagnerze i dlatego muszę tu opowiedzieć drobny epizod pro domo mea.

Wagner doprowadzał mię do wstrząsów wzruszeniowych bardzo mocnych. Pozbawiony, jak zwykle ludzie mego pokolenia, zdolności rozróżniania pomiędzy wstrząsami nerwowymi i głębokimi przeżyciami duchowymi, widziałem w Wagnerze potęgę niemal religijną i swoje przeżycia przy słuchaniu go zaliczałem do przeżyć religijnych. To i owo wprowadziło razilo mię w Wagnerze, nie wszystko było mi dość święte, ale jawnie wystąpić przeciwko niemu nie byłbym się odważył.

Alści złożyło się, że współ z jednym z przyjaciół, niezwykle głębokim robotnikiem — samoukiem — człowiekiem bardzo czytelnym, ale bynajmniej nie zdeprawowanym przez sztukę — byłem na Tanhäuserze, na tym samym Tanhäuserze, w którym gotów byłem dopatrywać się wyrazów mytu przedwiecznego i zawsze żywego. Kiedyśmy po przedstawieniu wrócili do domu przez Ringi Wiedeńskie, on — który zdaje się po raz pierwszy był na Wagnerze i duże się po nim spodziewał — powiedział, po długim milczeniu, jak wypowiada się owoc pewnych przeżyć: — „W tym niema nic świętego, sztuka ku uciechu publiczności i nie nadto“.

Zdanie to skrytykowałem wówczas dość ostro i wyraźnie dałem mu do zrozumienia, że mówi tak, ponieważ brak mu wykształcenia artystycznego. Potym przyszły inne sprawy i na długo zapomniałem o tym drobnym zażęciu. Widocznie jednak działało ono we mnie, ponieważ przypominało mi się, ilekroć słyszałem Wagnera. I oto powoli jałem przekonywać się, że rozdarło ono we mnie zasłonę przesądu zastarzałego, otworzyło mi okno, przez które mogłem krytycznie spojrzeć na dzieła Wagnera. Jałem przypominać sobie istotę mych przeżyć wagnerowskich, charakter jego sztuk i ostatecznie doszedłem do wniosku, że mój towarzysz miał zupełną słusność: — w tym bynajmniej niema religji — to tylko sztuki ku uciechu publiczności.

Czymże są postaci dramatów wagnerowskich? Czy to naprawdę wcielenia żywego mytu germańskiego? Ani trochę. To tylko starogermańska literatura, przyprawiona do gustu lubiącej nowość publiczności operowej. Wotanem, Walkyrjami, Lockem, Zygrydem żaden Niemiec już dzisiaj nie żyje; to imiona z podręczników historii literatury i trzeba całego balastu wykształcenia historyczno-literackiego, aby choć jako tako obudzić w sobie te poruszenia wewnętrzne, które postaci te mają symbolizować. Spółczesny Niemiec czym innym wzrusza się naprawdę. Być może, że Wagner to czuł i dlatego sięgnął też do mitów chrześcijańskich, które zresztą także umarły. Powstał więc Parsifal, budzący tak energiczny protest Nietzschego. Nietzsche dojrzał w Parsifalu wyrzeczenie się twar-

dej, mocnej germańskości, na rzecz miękkiego, niewieściego ideału katolicko - chrześcijańskiego.

Jeden tęskniący do głębi i niezdolny w nią zapaść literat gniewał się na drugiego literata, również do głębi tęskniącego i również zapaść w nią niezdolnego.

Wagner musiał przecie pisać dla tej publiczności, która chciała i mogła na sztuki jego przychodzić, a publiczność ta żądała tylko pięknej inteligentnej i wzruszającej rozrywki. Toć gdyby był w bogach germański h wyraził całą ohydę społecznej zabobreczej, krwawej i podstępnej duszy swego plemienia, wszyscy odwróciliby się od niego z oburzeniem. Podobnie, któżby poszedł na przedstawienie legendy chrześcijańskiej, gdyby legenda ta była czymś odsłaniającym podwaliny ustroju społecznego, a nie tylko baśnią romantyczną, rozgrywająca się pośród wspaniałych dekoracji i z lekkim posmakiem świętokradztwa w nabożeństwach odprawianych przez aktorów. Tak samo Tannhäuser lub Holender czymże są, jeśli nie pięknie inscenizowanymi baśniami? Bogate to i niezmiernie wymyślne baśnie, aleć tylko baśnie i nikt tego poważnie brać nie może, ani do niego decydującego przez te rzeczy doprowadzony nie będzie.

Gdzież tu religia?

Same warunki, w których powstała i są wystawiane dramaty Wagnera muszą obudzić poważne wątpliwości, co do sztuk tych powagi wewnętrznej. Są to przecie przedstawienia ku uciechu biednego, zdegenerowanego kabotyna królewskiego. Że takiego zrujnowanego duchowo schyłkowca rzeczy te mogły wzruszać, czyż to nie świadczy przeciwko nim?

Zewnętrznie — teatr Wagnerowski także bynajmniej nie stał się odnowieniem życia. Cóż z tego, że dla sztuk tych wzniesiono gmach specjalny, że zbudowano go zdala od gwaru wielkomiejskiego, że chciano poniekąd zmusić ludzi do oderwania się od życia codziennego i wzniesienia się ku wyżynom, kiedy wszystko to dostępnem jest tylko dla tych samych „panów“ i „szachrajów“, którymi tak pogardzał Wagner, pisząc o operze dawnego typu. Ci tylko, ta sama publiczność operowa, jeździ do Beireuth i probóje, czy nie dozna tam, czegoś takiego, czego dotychczas jeszcze nie doznawała. Beireuth — to tylko nowy sposób bawienia się, wymyślony przez Wagnera dla tych, którzy mają dużo czasu i pieniędzy.

A wystawa sztuk wagnerowskich, czy nie świadczy przeciwko nim? Cały ten nadmiar dekoracji, cała ta tak wyraźna chęć oszołomienia przy pomocy maszynerji, ten rażący brak czystego smaku artystycznego, uławniający się np. w urządzeniu dna rzeki na scenie, we wprowadzeniu papierowego smoka, wielkich pożarów i in-

nych efektów, leżących całkowicie poza granicami teatru, czy to nie przypomina nam automatów woskowych w panopticum?)

Wagner, pisząc o muzyce Meyerbeera, powiada, że tajemnicą jej powodzenia jest efekt, i trafnie dodaje, że pod słowem tym rozumie „skutek bez przyczyny“³⁾. Niestety, sam zmuszony jest popełniać ten sam grzech, bo czymże, jeśli nie wielkim nagromadzeniem efektów muzycznych i dekoracyjnych są sztuki Wagnera? Brak prostoty, wymyślność, przeintelektualizowanie, sztuczne szukanie podniekt, które same nie przychodzą — są tu aż rażąco.

Jakie wierzenia miał człowiek, który mógł napisać Niebelungów i Parsifala? Czyż nie był to tylko artysta, robiący w istocie rzeczy to samo, co czynili tamci tak potępiani przez niego kompozytorzy oper dawnych? Tamci zbierali melodie ludowe, aby zrobić z nich smakołyki dla podniebienia wytwornych próżniaków, a on w tym samym celu zbierał myty religijne i legendy romantyczne.

A przecie nie znamy większego wysiłku w kierunku odrodzenia teatru. Wagner miał zamiary poważne i zło nie było dla niego zakryte, jeno nie od strony teatru zmieniać je można. Teatr jest taki, jaki w panującym układzie stosunków społecznych może i musi być.

Był i jest rozrywką kulturalnej publiczności i żadne pomysły artystyczne, ani żadne najbardziej mytyczne tematy na świątynię go nie przerobią. Ostatecznie Wagner walczący z operą, dał tylko nową operę i nic nadto.

Jan Hempel.



3) „Udoskonalenie dekoracji i wogóle techniki teatralnej, a nade wszystko waga do tego przywiązywana są dowodem upadku dramatu Kieley mezuie poety nie jest dość silne, aby porwać słuchaczy i przenieść ich dziedziiny wymarzone; kiedy słowo jego nie posiada mocy malowania gmaczów i dowolnego zmieniania dekoracji; kiedy musi on wołać do pomocy dekoratora i maszynistę — jest to dowodem albo słabości poety, albo też zwyrodnienia publiczności“.

(Mickiewicz Lit. Słow. Lekeja z dn. 4. 4. 1943).

7) „Opera i drama“ — str. 85.

Bolszewicy i Denikin na Ukrainie.

Rządy bolszewików.

Wszystkim bardzo dobrze są znane ciężkie warunki, wśród których musiały t. zw. „niepaństwowe“ narody byłego rosyjskiego imperjum rozwijać swe kulturalne życie. Szczególnie trudną miał warunki liczebnie wielki naród ukraiński.

Oficjalny rosyjski patriotyzm, a także rząd oświadczyli, że „ukraińskiego języka nie było, nie ma i nie będzie“, a tem samem przyznano się otwarcie do wrogiego stanowiska wobec kultury narodu, który przedstawia znaczącą część państwa. Wychodząc z tego założenia rząd rosyjski zabronił narodowi ukraińskiemu korzystania z oświaty w szkołach w języku ojczystym, pozostawiając temsamem 30 miljonowy naród ukraiński w ciemnocie. Wszelka inna praca kulturalna pod względem narodowym była albo całkowicie wzbroniona, albo też bardzo utrudniona: książki ukraińskie podlegały surowej półrośnej cenzurze, wydawania czasopism zabroniono, naukowo-oświatowe towarzystwa prześladowano.

Rewolucja rosyjska z 1917 r., zerwawszy łańcuchy, któremi skute były narody żyjące na gruzach Rosji — zdaje się na zawsze — zniszczyła także narodowo - kulturalną niewolę tych narodów, między innymi także i Ukrainy. Zdawało się, że od chwili upadku starej władzy, wolno będzie uczyć w szkołach w języku ukraińskim, wydawać książki i gazety.

Lecz stało się inaczej.

Nawet po utworzeniu swego własnego narodowego państwa, naród ukraiński musiał walczyć u siebie, na swej własnej ziemi o swe kulturalno - narodowe prawa. Walka ta nie była słabszą od tej, którą prowadzono za czasów carskich rządów.

I szczególnie na szeroką skalę musiano prowadzić walkę w bieżącym roku, w czasie kiedy Ukraina przetrwała okupację bolszewicką, a obecnie takąż okupację Denikina.

Jeszcze przed przybyciem bolszewików na Ukrainę w b. roku, w Moskwie, przy współudziale prezydenta delegacji pokojowej na Ukrainie, Rakowskiego, wypracowano plan przyszłego zarządu Ukrainą po zajęciu jej przez bolszewików. Wówczas to Rakowski wyrażał się odnośnie do kwestji narodowej w ten sposób, iż wedle jego spostrzeżeń w Kijowie między mową ukraińską a rosyjską, a tem samem i między narodem ukraińskim a rosyjskim nie ma żadnej różnicy. Dlatego też przyszły prezydent bolszewickiego rządu na Ukrainie nie radził robić wielkiej różnicy w polityce między Ukrainą a Rosją, mó-

wiąc: „eto wsio adno, czto Rosija to i Ukraina“. Życie pokazało jednak, że bardzo się pomylili.

Przybywszy na Ukrainę z takimi poglądami na sprawy narodowe, bolszewicy w sprawie kultury ukraińskiej zajęli niepewne stanowisko. Nie przyznać istnienia kultury ukraińskiej, będzie niezręcznie dla socjalistów, w tym bowiem czasie nie było potrzeby jej uznawania, gdyż w Moskwie postanowili oni już przedtem, iż kultura ukraińska i mowa, to zjawisko naleciałe „nanosnoje“, które nie gra w życiu ukraińskiego proletariatu żadnej roli.

Z takimi przekonaniami „rabo ze-krest'ianskoje prawitielstwo“ przyjechawszy do Charkowa, tak w swej działalności, jakoteż w prasie radiańskiej używało wyłącznie mowy rosyjskiej. W sprawie szkoły ukraińskiej stanął Urząd na oficjalnem „pryncypjalnem“ stanowisku, iż szkoła ma być prowadzona w tym języku, jakiego chce społeczeństwo. A nieoficjalnie podtrzymywano pogląd, iż ukraińska mowa, to wymysł Petlury, Winniczenki i Hruszewskiego, wymysłony w celu pokłócenia ze sobą dwóch „bratnich narodów“. Na tej to podstawie nadzwyczaj troskliwe „komendy“, „sowdepy“ i „Ispolkomy“ poczęły wprost likwidować szkoły ukraińskie, terytoryzując nauczycieli, wyrzucając ze szkół ukraińskie podręczniki, namawiając rodziców do wnoszenia protestów przeciw ukraińskiej mowie i t. d.

Z przeniesieniem się Urzędu do Kijowa, centrum ukraińskiej kultury, kwestia o stosunku do języka ukraińskiego jako urzędowego, nabrała znaczenia i po długich dyskusjach uchwalono, iż na Ukrainie są urzędowe mowy: rosyjska, ukraińska, żydowska i polska i że każdy ma prawo pisać do wszystkich instytucji którym bądź z tych czterech języków i w takim samym języku musi się też dawać odpowiedzi. Taką dość niemądrą uchwałę powzięto wówczas, kiedy to niektóre kółka ukraińskie zażądały od bolszewickiego rządu, ażeby na całym terytorjum ukraińskiem urzędowym językiem był język ukraiński.

Ale to miało miejsce tylko w centrum kraju. Na prowincji różni komisarze, po większej części Rosjanie i Żydzi, odnosili się wrogo tak do ukraińskiego języka, jakoteż i do szkoły ukraińskiej i prowadzili w tym kierunku odpowiednią agitację. Np. dokumentów, wystawionych w języku ukraińskim, nie chcieli czytać, zarzucając, że to mowa „petlurowska“, a właścicieli takich dokumentów traktowali jako „petlurowców“ i „kontrewolucjonistów“. Zamykali oświatowe towarzystwa „Proswita“, aresztowali oświatowych działaczy, usuwali i niszczyli portrety ukraińskich pisarzy. Szczególnie dostawało się portretom Winniczenki i Hruszewskiego; niszczyli nieraz i portrety Szewczenki. m. m. że tylko jego jednego z pośród ukraińskich poetów uważali jako zasługującego na zaufanie i nazywali go pierwszym ukraińskim rewolucjonistą i komunistą i podczas uroczystości portret Szewczenki umieszczali obok portretów Trockiego, Lenina, Marksa i innych.

Taki stosunek do ukraińskiej kultury, języka i szkoły spotkał się z ostrym odporem ze strony licznej inteligencji (wyłącznie nierosyjskiej), i przeważnie włościaństwa. Różne rozmowy na temat zbędności języka ukraińskiego i szkoły, które to rozmowy włościaństwa dotychczas wysłuchiwało milcząco, naraz stały się powodem wrogiego stosunku włościaństwa do agitatorów. Na zjazdach domagali się włościanie, ażeby przemawiano do nich po ukraińsku, a nie po rosyjsku. Nauczycielstwo ukraińskie, zorganizowane w tak zw. „Wsze-ukraińskiej Nauczycielskiej Spółce“, po pewnym okresie czasu używało to, ażeby ukraińska szkoła ludowa nie była narzędziem rusyfikacji.

W tym samym prawie czasie, powstania włościańskie przekonały bolszewików, iż wśród narodu żyje ukraińska idea narodowa i że bolszewicy pomylili się bardzo, nie uznając ukraińskiej sprawy narodowej. Wówczas to wydano rozporządzenia, ażeby nie stawiano żadnych przeszkód ukraińskiej kulturze i zagrożono, że wszystkich pozwalających sobie znęcać się nad ukraińską kulturą traktować się będzie jako wrogów Radańskiej władzy i ostro karać.

Ale w praktyce nie było tak bardzo dobrze.

Bardzo charakterystyczną była rozmowa z prezydentem Centr. Wykonawczego Komitetu Wseukr. Sowdepa, Petrowskim.

W Kijowie istniał ukraiński ludowy uniwersytet, w którym uczyli się przeważnie robotnicy miasta Kijowa. Koszta prowadzenia uniwersytetu pokrywał rząd. Pewnego dnia zarząd uniwersytetu dowiedział się, że bolszewicki urząd nie będzie więcej łżył na jego utrzymanie. Wobec tego udała się delegacja wybrana z pośród słuchaczy do Petrowskiego z prośbą o pomoc. Ten, wysłuchawszy delegację, odpowiedział jej w języku rosyjskim co następuje: „Jestem zdziwiony, że nachodzicie mnie w sprawie jakiegoś tam ukraińskiego ludowego uniwersytetu. Po co wam ukraiński uniwersytet, kiedy macie przecież rosyjski?“

Gdy delegacja zwróciła uwagę, że Ukraińcy mają przecież prawo do swego uniwersytetu, Petrowskij odpowiedział z roztargnieniem: „My dążymy do internacjonalizmu, a wy swoją ukraińską kulturą ciągniecie nas w dół“ i t. d.

Tak przemawiał „pierwszy mąż“ na Ukrainie, prezydent C. K. W., inni mniejsi i jeszcze mniejsi politycy mówili jeszcze więcej.

Najwięcej jednak przeszkód robili komuniści w sprawie wydawnictw ukraińskich. Wszelkimi siłami tamowali wydawnictwo ukraińskich książek, uzasadniając swoje w tym kierunku zarządzenia tem, iż niema papieru i skracając o wiele razy ilość wydawanych książek, podczas, gdy rosyjskie i żydowskie książki nie ulegały takim zarządzeniom. Nie obeszło się bez charakterystycznych epizodów. I tak, kiedy przyniesiono do cenzury całkiem obiektywną książkę naukową np. „Geografię ekonomiczną“ prof. Ostapenka, cenzor z początku za-

kazał drukowania tej książki tylko dlatego, ponieważ prof. Ostapenko był swego czasu prezesem Rady ministrów za Dyrektorjatu. Dopiero po długiej dyskusji i użyciu protekcji zezwolono na wydanie wspomnianej książki.

Wydano znów w przekładzie ukraińskim książkę Pfankuche „Porozumienie między nauką a religią“. Cenzor komunistyczny również zabronił jej rozpowszechniania tylko dlatego, ponieważ wedle jego przekonania, nie może być porozumienia między nauką a religią. Wogóle cenzorowie zawsze zwracali uwagę, iż nie trzeba wydawać takiej lub innej książki w języku ukraińskim, gdyż książka taka jest już wydana po rosyjsku.

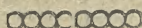
Był jeszcze i taki wypadek. Pewna kooperatywa zamierzała wydać zeszyty szkolne z portretami ukraińskich poetów Szewczenki, Franka i Hrinchenki. „Komisarz druku“, bez którego zezwolenia nie można niczego drukować, zaproponował, ażeby na zeszytach wydrukowano portrety Trockiego, Lenina i t. d. Kooperatywa się na to nie zgodziła i sprawę oddano do rozstrzygnięcia pow. komitetu wykonawczego, a ten wydał następujący wyrok salomonowy: „Jeżeli będzie tylko jeden portret ukraińskiego poety, to będzie wskazywać na szowinizm, a żeby tego nie było, zaproponowano drukować na zeszytach po 2 portrety: ukraińskiego poety i jednego z rosyjskich: Gorkiego lub też Tolstoja“.

Nie można pominąć milczeniem auto-da-fé w Kamieńcu, gdzie komuniści spalili historję Hruszewskiego. Była także utworzona przez bolszewików komisja dla przeglądu podręczników, mająca zapobiec ażeby nie było w podręcznikach kontrrewolucji, lecz nie miała ona czasu działać. Przyczem „kontrrewolucję“ w podręczniku szkolnym widziano nawet wówczas, gdy pisano tam o miłości dla Ukrainy, o walkach narodu ukraińskiego o jego kulturalne i polityczne prawa, gdy wyjaśniano różnicę pomiędzy ukraińskim a rosyjskim narodem i t. d. To wszystko nazywali bolszewicy „szowinizmem nacjonalnym“ i tego rodzaju podręczników nie dopuszczano do szkół, gdyż przeszkadzały one połączeniu się dwóch „bratnich narodów“.

Myśle, iż dość tych faktów, ażeby unaocznić sobie te przeszkody, które stawiali bolszewicy Ukraińcom w sprawie rozwoju kulturalnego, ci bolszewicy, którzy głosili zasadę: „samocznaczenia nacji aż do oddzielenia“ i którzy tylko siebie uważali za prawdziwych socjalistów. Te fakty wszelako zdają się być jeszcze niczem w porównaniu z postępowaniem co do ukraińskiej kultury band Denikina.

(C. d. n.)

P. Ł.



Pomyłona uciecha.

Prasa reakcyjna z uciechą zanotowała drukowane niedawno w „Trybunie“ wywody o konieczności pracy wydajnej. Autor odnośnego artykułu miał wskutek tego wątpliwości, czy pisał rzeczy słuszne. Ucie ha reakcji byłaby sprawdzianem, że się pomylił.

Atoli wydaje się, że próżna była radość różnych gazetątek. — Tak! Jesteśmy entuzjastami pracy wydajnej, godzimy się nawet na akord, ale z warunkiem, że będzie to szło w parze z procesem socjalizacji produkcji, że robotnicy, godząc się w społecznym interesie na metody pracy polegające na wydajności, przez zdobycie odpowiedniego wpływu na kształtowanie warunków pracy, zabezpieczą się przed wyzyskiem. Robotnicy chcą pracować więcej, lecz nie dla napychania kieszeni kapitalisty.

Hasło socjalizacji musi stanąć obok hasła pracy wydajnej.

A powtóre — dwie rzeczy należy rozróżniać: świadome ograniczanie wydajności pracy i żywiołowy jej upadek.

Robotnicy ograniczając świadomie wydajność pracy kierują się nie tylko grupowym egoizmem i duchem cechu, lecz są powodowani słuszną obawą o własny byt. Mniemają, że w okresie bezrobocia i depresji, każde zwiększenie produktywności pracy prowadzić musi do redukcji liczby robotników. A więc w nagrodę za swój spotęgowany wysiłek, zostaliby wyrzuceni na bruk.

Mniemanie w pewnym stopniu trafne. To też kiedy społeczeństwo tak ureguje produkcję, że robotnik, pracując w fabryce, nie będzie widział przed sobą ustawicznie widma nędzy bezrobocia, ustanie „nieróbstwo“ i świadome hamowanie tempa pracy.

Druga sprawa, to żywiołowy upadek produktywności pracy. Zjawisko owo istnieje, choć nie w tym stopniu, jak twierdzą znachorzy endeccy. Niedawno „Kurjer Polski“ przytaczał cyfry, stwierdzające, że wydajność pracy w polskim przemyśle włóknistym nie tylko się nie zmniejszyła, lecz nawet wzrosła. („Kurjer Polski“ z 5.XI r. b.). Nawet na robotach publicznych w wielu okolicach kraju — według urzędowych sprawozdań — wydajność pracy nie zmniejszyła się wcale w stosunku do przedwojennej. Jeżeli zaś istotnie w wielu gałęziach produkcji intensywność pracy uległa redukcji, to jedynie człowiek ograniczony nie widzi przyczyn tego zjawiska. Istota ludzka nie jest mechanizmem, lecz organizmem, a praca to nie wynik działania motoru, ale przejaw funkcji życiowych. Normalnie pracować można wtedy, gdy się normalnie żyje. Odżywianie, mieszkanie, sportów wewnętrzny i t. p. Uczeń Taylora — Gilbreth w „Motion Study“ wylicza czterdzieści dwie zmienne, wznające jakoś i ilość pracy — oto dane, od których funkcjonalnie zależy zdolność pracownika.

Spokój robotnika stargaly wstrząśnienia wojny i niepewność bytu. W mieszkaniach naszej klasy pracującej swobodnie rozwija się nędza, choroba, śmierć, zbrodnia; nie zakwitnie tam kwiat entuzjazmu pracy.

W końcu — słowa jednego z najbardziej znanych polskich przemysłowców: „Dajcie robotnikowi jeść tyle, ile wymaga ludzki organizm, a będzie pracował normalnie”.

Błękitne, ciche morze.

SONET.

Błękitne, ciche morze, nieskończoność śpiąca,
Wieczność, co jest półjawą, marzeń bezszelestem,
Pod żar słoneczny lśniąca zimowych fal azbestem,
Przestrzeń i czas bez źródła, bez biegu i końca.

Światło gra pieśń na strunach kołysanej fali
I pierścieniem diamentów lazur jej opływa,
Siana siewem spokoju śni odwieczy niwa,
A na niej dusza moja jak kwiat się kryształa.

Wzrosła śród cisz pieszczoty, pogodą się mieni
Zaden cień od uśmiechu słońca jej nie dzieli,
Błękitna — wsiąka w błękit fal i nieb topieli,
By trwać wiecznie, wiecznością ciszy i promieni.

Julja Dicksteinówna.

Z Bułgarii.

Janko Sakasow, przywódca socjalistów bułgarskich, przesłał do Sekretariatu Międzynarodówki list poniższy, datowany z Sofji z dnia 6.X 1919.

„— 19 września otrzymała Delegacja Bułgarska traktat pokojowy. Na północy, zachodzie i południu zostały oderwane od Bułgarii ziemie z ludnością bezsprzecznie bułgarską; ludność Dobrudży i Macedonji została na nowo poddana obcemu panowaniu; narzucono Bułgarji zobowiązania ekonomiczne i polityczne, niemożliwe do wypełnienia. Niezależność polityczna i ekonomiczna kraju zostały podcięte u pnia. Cały traktat pokojowy, opierając się na przemocę i zemście, wnosi ziarno niezgody między sąsiadujące narody i zawiera w

sobie źródło do nowych niepokojów na Balkanach. Prosimy was o pośrednictwo u partji pobratymczych w krajach ententy dla uzyskania energicznej interwencji na korzyść sprawiedliwego uregulowania zagadnienia bałkańskiego, zgodnie z duchem uchwały Socjalistycznej Konferencji w Lucernie'.

Dr. Markow z Berna pisze w podobnym sensie. Dodaje ponadto, że traktat, który wydzieria Bułgarji ziemie wolne od przeszło 40 lat, musi być podpisany przez Rząd Robotniczy i włościański, jaki niewątpliwie zostanie wybrany podczas obecnie dokonywujących się wyborów. Przypomina on jeszcze, że kraj jego cierpi w dalszym ciągu strasznie od konsekwencji wojennych: niesłychana drożyzna żywności, brak artykułów pierwszej potrzeby, kryzys mieszkaniowy. Kończy odwołaniem się do uczuć ludzkości z prośbą o pomoc w odbudowaniu jego ojczyzny.

K. K. K.

Posel Daszyński otrzymał następujący list:

Wyrok I.

Skazani: Daszyński, Diamand, Perl, Barlicki.

Za działalność na szkodę RzPltej a na korzyść Niemców i bolszewików w mowie, druku i organizowaniu strajków: na śmierć przez — — rozerwanie bombami.

Kmiciice Krwawi.

Wyrok II.

Skazani: Witoś, Poniatowski, Dąbski.

Za działanie na szkodę RzPltej a na korzyść Niemców i bolszewików w mowie, druku i organizowaniu zaburzeń: na śmierć przez — — zastrzelenie z tyłu.

Kmiciice Krwawi.

Pod temi „wyrokami“ podpisane trzy litery: K. K. K. zapewne dla dodania uroku tajemniczości. Jest to kwiatek „patriotyzmu“, którego teraz pełno wszędzie; rośnie pod skrzydłami opiekuńczego drobnomieszczaństwa. Pewno, że to dzieci piszą owe K. K. K., ale te dzieci powtarzają dosłownie, to co słyszą u starszych dzieci, które usiadłszy na dachu RzPltej skrzeczą K. K. K. na każdego, kto nie jest dzieckiem. „Komitet Kmiciów Krwawych“ jest pod pewnym względem mniej zabawny, niż artykuły „poważnej“ prasy endeckiej, które co dnia wołają K. K. K. na całą RzPltę.

Zygmunt Kisielewski.

Siostra Marja.

Święcki przejrzał.

Zdumiewało go i rozkoszą przejmowało wszystko to, co teraz widział. Kształty, zarysy, wypukłości, to wszystko, czego „uczył się” jako ślepiec, owinięte było teraz tęczą czaru. Kasztan pospolity, rosnący na ulicy, napawał zachwytem, niby objawienie piękna, chojętnego dla innych. Święcki otulał spojrzeniem jego korę, dostrzegał igranie światła w szczerbach martwicy, wysyłał wzrok ku górze, obwijał się nim dokoła gałęzi, wpiął w miąż żółkniejących już, rdzawych albo żółtawych liści. Piasek mu pod stopami płonął ognisko. Niebo błękitniało boskim zefirem, który przesyczał świadomość kolorem jasnym i tęgim. Kwiaty widziały się niby duchy barwne, które spłynęły tu, aby świadczyć o radości istnienia nieśmiertelnego. Wszelkie stwerczenia, dostępne dla oka mieszkańca miejskiego, śpiewały nieustanny hymn życia wrzającego blaskami, promieniami, odcieniami pod nieogarnionym baldachimem świata.

Gdy zwolna, oględnie kroczył ulicą, oczarowywały go wszelkie zjawiska życia ulicznego, których kształty martwe spoczywały w najniższych warstwach świadomości. Samochód szary, kwadratowy, niezgrabny a lorniejszy od gołębia — jakby energia ludzka wcielona w żelazo, motory i koła. Błękitna, sięjąca mleczny blask bania latarni gazowej, otulona sferą tęczową. Aeroplan, mknący hen w chmurkach jesiennych, najpiękniejszy z latawców, niby obraz nieścisłej myśli ludzkiej, godzącej w nieskończoność. Hucząc, szumiąc, terkocząc, zjawił się złoty na szarochmurnej piramidzie obłoków, przeżył ją, zginął, znów wybuchnął. Pędzi z wiatrem, czy przeciw wiatrowi, rumak człowieka podniebny. Coraz mniejszy, jak ptak, jak strzała, plamka. Zczeźł.

Tu przed chciwemi barwy i linji oczyma rozrósł się gmach wspaniały, rozległy, murami czerwonymi oszalowany, w dachy, wieże, kaplice i nawy polamany. Świeci się i jaskrawi rozkoszą kołców, od parzącej purpury do oślepiającej białości, ściekającej ku dołowi w sieć płam i smug zielonkowych i złotych, jak starożytne kruszce.

Nagle wpadał Święcki w żywy prąd ludzi na skrzyżowaniu ulic i dał się nosić strudze kipiącej różnobarwnością kapeluszy, czapek, piór, rozmaitością twarzy bladych, schorzących, pomarszczonych, albo rumianych, młodych, mocnych, o spojrzeniu zimnem i ostrym, obojętnem i zadęczonem, obląkanem albo spoko'nem, twarzy czułych i zwodzących połyskiem oczu, barwą, skrzywieniem lub uśmiechem ust.

Chwytał te pyłki wrażeń, napróżno siłąc się ogarnąć całość, jak człowiek, któryby chciał nadziwić się tryskającej bujności światła w każdej kropelce siklawy.

A wieczorem odsłaniały się przed odrodzonym wzrokiem gwiazdy, tajemni znakami potwierdzenia mrugające z bożych oddali. Święcki kąpał się w ich brzasku chłodnym, klarownym, wyciągał do nich dłonie, jak lunatyk, i śląc westchnienia modlitewne płakał rzewnie. Bowiem wpatrzony w tę nieskończoność radosną przypominał sobie, iż niedawno wiedział to jeno, czuł, ale nie widział tak niezłomie, jak teraz.

Patrzył, chłonał oczyma i stwierdzał. Szlaki ducha, kędy błakał się ślepiec, uwidaczniały się teraz w prawdzie jawnej rzeczywistości. Ogrom zjawisk wszelkiego koloru i formy spłynął się w harmonijną jednię na podstawie jednej zasady żywej. W tej jedni i on, Święcki, świecił barwą trwałą i nieśmiertelną w istocie swej, aczkolwiek błędną i nieuchwytną pozornie.

Więc dziwił się, dostrzegając troskę w oczach ludzi, którzy przecie zawsze widzieli to, co jemu dane jest oglądać dopiero od niewielu dni. Ludzi wszystkich pojmował jako istoty niezgłębione, harmonijne i wdzięczne. Zdumiewała go nieprzebrana ich obfitość, bujność przeróżnych kształtów i wyrazów tak nieprzeliczona, że myśl rozpraszała się i mąciła w tych nieustannie pieniających się wirach.

I zatapiał się w ten chaos linii, form i twarzy, jak malarz posiadający siatkówkę wielokrotnie wrażliwszą, niż przeciętne oko.

I żył w takiej ekstazie upojenia, że wróciwszy wieczorem do mieszkania, nie miał już sił patrzeć więcej i, wyczerpany, zasypiał dwardo.

A Marja?

Zrazu zatraciła się pośród tak nieoczekiwanego szczęścia trwogi. Lecz skoro ozdrowienie męża nie podlegało już wątpliwości, szczęście jej unosiło się niby róża na zburzonych falach czarnego stawu. Głos jej drżał radością czy lękiem? Gdy Zdzisław gładził jej policzki, wpatrując się w oczy, przenikał ją dreszcz boleści czy rozkoszy?

Gdy była sama, stawiała przed lustrem i przyglądała się swej czerwonej, śladami ospy zrytej twarzy i strach nagły przejmował ją nawskroś niby mróz, ścinający lodygę lilii. Wówczas bezradnie splótłszy ręce, zapadała w rozmyślanie nieujęte, bez pojęć. I znowu wracała wzrokiem do swej postaci krzepkiej, jędrnej, o ramionach węzłowatych i pełnych piersiach, do swej głowy pospolitej i do tej twarzy potarganej rylcem choroby.

Móglże kochać ją taką?

On zaś, jakby dotąd był ślepy, nie ratącego w żonie nie dostrzegał. Przeciwnie. Często tonął spojrzeniem rozradowanem w jej

oczach, a gdy ona drżała niespokojnie, niby ptaszek w ręce, mówił:
— Maryś moja!

Tak ją bowiem nazywał od kilku dni.

— Dziwisz się pewnie, że tak patrzę wciąż na ciebie, ale ja piękności twojej napatrzeć się nie mogę.

Żona spłonęła ogniem.

— Wydała ci się coś... szepnęła zasłaniając twarz.

— Nie kryj się. Tyle lat nie wolno mi było widzieć twych oczu. Takie ogromne i tyle w nich dobroci...

— Wstyd mi. Nie mów.

— Wstydzisz się?

— Bo tak patrzysz, jakbyś czegoś szukał.

— Prawda. Ponieważ szukam tajemnicy, która dała ci siłę uratowania mnie. Nauczyłaś mnie, jak tego baka, co tam spa — wskazał na malca.

Marya zerwała się, aby poprawić niby kolderkę, zsuwającą się z dziecka.

— Taka jesteś zwinna i żywa, że się nadziwić nie mogę twoim ruchom.

— Przestań...

Podszedł do niej i objął ją.

Cała w ogniach wtuliła się w jego ramiona.

— Starsza jestem od ciebie...

— Ja ci lat nie liczę, bo może ja starszy jestem... Nie wiem nawet, skąd we mnie taka weselość po tych latach... Wiesz, ja jestem poprostu szczęśliwy, jak dziecko. Wszystko mnie cieszy i myślę, że świat ten, który widzę, taki jest mądry i piękny i ty... wiesz?

— To kochasz mnie...?

Zdziwił się.

— Czy potrafiłbym ciebie nie kochać?

— Gdybyś poznał inną...

— Nie rozumiem ciebie, Maryś.

— Ładniejszą...

Uśmiechnął się dobrodusznie.

— Gdyby była nawet tak piękna, jak konwalia, to przecież ty jesteś moją, jak moje oczy.

— Dawniej to ja za ciebie patrzyłam...

— Napracowały się te twoje oczy — mówił, całując ją. Teraz moje będą dbały o to, ażeby te niebieskie nigdy nie płakały. Zabiorę się do pracy.

— Mnie nie ciężko. Mam ciebie i dziecko. Nigdy nawet nie śniłam... że naprawdę... A kłopoty — co tam! Życie nauczyło mnie pracy.

Tak rozmawiali, spoglądając na śpiące dziecko. Chłopiec wtulił sobie piąstkę pod nos, skutkiem czego miał minę srodze poważną.

— Masz teraz dwóch chłopców. Jeden taki maluśki, jak nasz kotek, drugi wielki, tylko z nim utrapienie większe, bo trzeba było dbać o niego bardziej, niż o małego.

Święcki nie próbował nawet wyobrazić sobie, żeby Marja mogła wyglądać inaczej. Taką ujrzał ją poraz pierwszy w życiu, taką była i musiała pozostać na zawsze. Wprost nie domyślał się znaczenia napomknień Marji, oraz jej zapytań.

Niższych natomiast nieporozumień nie było między ojcem a małym Zdzisiem. We dwóch poznali świat. Święcki uczył się na nowo, mały poraz pierwszy. Razem poznawali rzeczy, oraz ich właściwości, przestrzeń i barwy. Bawili się chichocząc weselo, gdyż oko niedoświadczone nie ustaliło jeszcze w mózgu praw fizycznych. Piłeczka rzadko trażała w punkt, do którego celowali i, zamiast w nadstawioną rączkę dziecka, zapędziła się na szafę. Zdzisiek zalewał się wtedy śmiechem, ojciec zaś musi przedsięwziąć wyprawę w górę, wśród łamań się i ruchów jeszcze niepewnych. Wreszcie z tryumfem łapie piłkę i ciska ją, lecz widząc, jak mały z wielkiem napięciem uwagi gotuje się, aby ją złowić, wybucha śmiechem, podbiega do chłopca i, biorąc go w ramiona, tkliwie ogląda jego główkę, rozgarnia mu jasne włosy i słucha dzieciennego gaworzenia.

Najmilszą jednak rozrywkę stanowi zabawa w kotka. Jest to stworzenie małe jeszcze, bure, w czarne prążki. Obaj Święccy z jednakiem zapalem podziwiają zwinność kociaka, jego polowanie za papierkiem, przywiązany do nitki. Kotek czai się, macha kozły, daje susy w górę. Ojciec z synkiem rozciąga się na podłodze, zrywając boki ze śmiechu, obserwując nagle podskoki, pelzanie, delikatne chwytły łobnego stworzenia, oraz jego gniewne merdanie ogonkiem.

Śmiech serdeczny napelniał wówczas mieszkanie Święckich. Rzeklibyż: „szczęśliwi, proszą ludzie tu mieszkają“.

CIągłe trudne warunki życia nie zdołały zamroczyć duszy Święckiego. Z energią młodzieńczą zaczął starać się o pracę i wkrótce, jako prawnik, znalazł ją w urzędzie skarbowym odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Obłąwszy posadę, jął zapuszczać się ostrożnie w zmieniony przez wojnę gąszcz ludzki, badając nowy teren, stawiając pierwsze kroki pośród zgałwanych i w nieskończoność komplikujących się stosunków ludzkich.

Napozór nie różnił się teraz niczem od ludzi zwykłych. Zachował jednak z czteroletniego prawie okresu ślepoty pewien drobny sposób życia. Wrażliwość, spotęgowana w czasie choroby, nadawała twarzy jego odcień stałego zamyślenia i czuwania zarazem. Miękką sposob podawania ręki i cichy uśmiech, raz wciąż jakby podziwiający coś uroku spojrzenia zwracały nań uwagę, zwłaszcza kobiet.

Wzrost, oczywiście, tajemnica jego była znana powszechnie wśród kolegów i koleżanek biurowych. Na indagacje i natrętne nieraz nagabywania, którym zazwyczaj towarzyszył błysk współczucia, odpowiadał krótko i wymijająco. Zresztą koledzy prędko żyli się z nim i prędko zapomnieli — w czasach tyle rozrywek nastrojących ciekawości ludzkiej.

Jedna tylko panna Ewelina Kątska, dłużej zatrzymała uwagę na osobie Święckiego. Osóbka różowa, pulchna, żywa, jak ten koleś, z którym Święccy wyprawiali harce, szykowna, z doleczkami w brodzie i na brwi, przy każdej sposobności wpadała do pokoiku p. referenta i rozpoczynała panięńską pogawędkę. Czyniła to r. prawdziwie wobec każdego „chłopca“, ale Święcki zajmował ją przede cze-ś całkiem szczególnym. Pannie Ewelinie zdawało się, że płynie cdeń jakiś fluid zagadkowy, niby perfumy rzadkiego zapachu, chociaż Święcki zachowywał się najzupełniej naturalnie. Ruchy jego, słowa i spojrzenia pozbawione były krzykliwej materialności, odznaczały się skupieniem, cechującym ludzi, których tak już ukształtowała natura albo ważne jakieś doświadczenie. On jednakowoż spoglądał na pannę Ewelinę z taką samą uwagą, z jaką patrzył na innych, na swego kotka, albo na pajaka, czatującego w rogu biura. Ale panińce, oczywiście, wydawało się, że na pociągłej twarzy kolegi zjawia się uśmiech szczególnego zachwyty, wyzaczarowany właśnie przez jej nadobną figurkę. Wbiwszy to sobie w swą główkę poszukiwała już panna Ewelina odład starannie każdej sposobności, ażeby „pograć“ Święckiego, olśnić go koronkową bluzeczką, błysnąć „perelkami“ ząbków, odurzyć dzwonnym śmiechem wabiącej niewiastki.

On nie dostrzegł tych błogolwskich fortelów, a że panna Ewelina w niczem nie była gorsza od innych ludzi, tłumami teraz przewijających się przed nim, więc na każde pytanie zalobne odpowiadał z uśmiechem serdecznym.

Aż wreszcie, razu pewnego, panna Ewelina, wdzięcznie odchylwszy główkę i wabnie przymróżwszy oczęta, wionęła wonnem zapytaniem:

— A czy ja się panu podobam?

On spojrzał na buzię świeżą, jak dojrzewająca, u czubka jeszcze zielona, ale u nasady już różowa poziomka, na usta półodemknięte i wpatrywał się w nią uważnie.

Panna zarumienila się.

Święcki ogarnął spojrzeniem jej kształty dziewczęce, giętkie i, powróciwszy do twarzy, zairzał w blado-niebieskie, zamglone oczy.

— No? — tupnęła nóżką.

— Pani jest bardzo ładna — rzekł w końcu i, usłyszawszy te słowa własne, przerwał.

Pierwszy to raz od chwili ozdrowienia uczucia smutku nagle zawisło nad nim, aiby cień chmury nad błękitną powierzchnią stawu.

Wstał i wyciągnął życie, jak człowiek, którego uwagę pochłoniął jakiś przedmiot w sposób szczególny.

— Czemu pan zbladł?

— Ja? — szepnął, podchodząc do niej.

Ale panma Ewelna ujęła paluszkciem sukienkę i szczebirocąc „nie! nie!“ uciekla, zostawiając za sobą w powietrzu niby falę srebrzystą dzwonnego, chichotliwego śmiechu.

A kiedy Święcki biegł wzrokiem zamyślonym za znikającą wychynęła z pamięci czerwona, skażona ospą twarz żony.

Poraz pierwszy dowiedział się, że Maria jest brzydka.

(Dokończenie nastąpi).

Ratujcie bohaterских paskarzy!

Kto weźmie na sumienie swoje śmierć z rozpacz polskiego paskarza, któremu zmarzną wobec nieprzewidzianych mrozów na spekulację przygotowane kartofle?

Kto dźwignie śmiertelny ciężar choćby jednej lzy paskarza, wielkiej, serdecznej lzy ciężkiego żalu do tych, co zmarzli z chłodu i głodu w nieopalonym domu, nie kupiwszy uprzednio kartofli lub drzewa à 18 mk. pud?

Nikt tego nie zdoła i nikt nie uczyni. Kochamy paskarza ze wszystkiego serca, nie zapominamy o nim nawet, straciwszy go z oczu. Na sam widok paskarzy, rozpiera nas duma. Nikt wtedy nie myśli o tem, że w nieopalonych mieszkaniach marzną nasze dzieci, że kiszki grają marsza, iż ze szczątków butów wylażą bosa nogi, bo każdy wie, że paskarz dba o nasz sen spokojny, albowiem miasto nie ma opalu, paskarz zaś opał ma; krajowi grozi katastrofa głodowa z braku kartofli, a właśnie paskarz je ma. Dbą on więc o to, aby nam było ciepło i byśmy byli syci i aby cały świat mówił z podziwem:

Co to za naród, który takich wydaje paskarzy!

O, tak! Niema na świecie tak litościwego i tak zarazem miłosiernego, ludzkiego paskarza!

Zbierajmy tedy datki na — paskarzy! Urządźmy kwestę!

Wprowadźmy społeczne ubezpieczenie od niedostatecznych zarobków.

Ustanówmy państwowe dla paskarzy — emerytury.

Różności.

Głos Nauczycielski, wychodzący jako organ Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, jest pismem, które w kołach nauczycielstwa zajmuje poważne miejsce. Zainteresować może także i szerszy ogół. Taki np. dział kroniki jest wprost kopalnią dla dzienników. Notatka o anarchistach, zajmujących stanowiska okręgowych inspektorów szkolnych, zawiera szczegóły tak sensacyjne, że dziwić się należy, iż dotąd jeszcze się tą sprawą Sejm nie zajął.

Oprócz spraw pedagogiczno-wychowawczych „Głos Nauczycielski” uwzględnia nawet dość szeroko kwestje związane z bytem nauczycielstwa. Jest to dobrze. Sprawa to bowiem ważna. Trzeba zerwać z przesądem, że można uczyć się i uczyć o chłodzie i głodzie. Należałoby tylko zwrócić baczniejszą uwagę na dział nauczania. No, i na stan materialny i moralny, w jakim obecnie młodzież szkół powszechnych się znajduje.

Nauczycielstwo powinno i musi otworzyć oczy społeczeństwa na stan, w jakim znajduje się szkolnictwo powszechne, łącznie z młodzieżą.

Od Administracji.

Abonenci, którzy chcą wnosić prenumeratę za „Trybunę”, a nie wiedzą, w jaki sposób to uskutecznić, proszeni są o zażądanie — kartą pocztową — czeku. Administracja bezzwłocznie czek wyśle. Adresy i nazwiska administracji prosi pisać czytelnie.

Tróść Nr. 6: Ani na lewo — ani na prawo!... — Pieniędzy!... — O poziom życiowy polskiej klasy robotniczej (E. Lipiński). — Międzynarodowa Socjalistyczna Komisja Międzyparlamentarna. — Kariki z pamiętnika. Al dykacja R. R. (H'polit Śliwiński). — Listopad (Sylwester Jaksza). — Sztuka i socjalizm: Sztuka społeczna (Jan Hempel). — Bolszewicy i Denikin na Ukrainie (P. Ł.). — Pomyłona uciecha. — Błękitne, ciche morze (Julia Dicksteińwna). — Z Bułgarii. — K. K. K. — Siostra Marja (Zygmunt Ksielewski). —

Ratujcie bohaterów paskarzy! — Różności. — O administracji.

Administracja otwarta codziennie od g. 10—3 popoł. Redakcja od g. 11—1 pp.

Wydawca: Spółka wydawnicza „Trybuna”. Red. odpow. Wład. Wiertel.

Odeito w Drukarni „ROBOTNIAK”.